№ 17.

Warszawa, dnia 25 Kwietnia 1863 r. 13 Kwietnia.

# TYGODNIK MÓD

## NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

**CENA. w Warszawie** *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

### DOMOWE SPRAWY

### KRÓLA JANA SOBIESKIEGO.

Rok 1657 już był na samym schyłku, kiedy król Jan Kazimierz zabezpieczony cokolwiek od wewnętrznych i zewnętrznych nieprzyjaciół zjechał do Warszawy z Krakowa, zajmowanego lat dwa przez Szweda i zniszczonego srogością główno dowodzącego. — Obok króla znajdowała się także żona Marja Ludwika de Nevers księżniczka mantuańska, pani umysłu niepospolitego, na którą zwrócone były oczy wszystkich Francuzek, a szczególniéj bogatszych w herby, w tytuły, w zaszczyty przodków, jak w majątki ziemskie i w brzęczące rzeczy. W owych bowiem czasach Francja, już była miejscem najprzyjemniejszych dla panów naszych podróży, i jak od nas odbywały się peregrynacje dla poloru i zabawy, tak z Francji zaczynały powstawać wycieczki do Polski *dla karjery*, czyli zrobienia fortuny i zabezpieczenia sobie losu.

Pomiędzy innemi przed samym adwentem przybyła także do Poznania, wraz za dworem królewskim panna Marja Kazimiera córka Henryka de la Grange markiza d'Arquien, i zamieszkała w klasztorze Panien Benedyktynek, w którym zwykły porządek tak przewróciła do niepoznania, taką napełniła go wrzawą, że aż biedne zakonnice uwolniwszy się od zbyt uciążliwego gościa, żal swój wypisały w kronice klasztornéj, obecnie znajdującéj się w bibljotece Raczyńskich w Poznaniu. W kronice téj czytamy następujące słowa:

Przed samym adwentem r. 1657 przyjechała do klasztoru naszego panna d'Arquien. Panna ta była najzacniejsza z fraucymeru królewskiego, któréj wielebna panna ksieni ustąpiła izdebki swojéj z wielkim niewczasem swoim i aż w chorobę była wpadła, zaczem królewstwo słało do niéj doktora swego. Było to bycie panny téj poniekąd z niezbudowaniem inszych. W nocy trzeba było doktora puszczać do niéj. Senatorów wielu ją nawiedzało i częstém chodzeniem bardzo się uprzykrzali i przez kościół chcieli do niéj: nie było pokoju przed nimi. A że łaźni często używała a wody w klasztorze nie było, musieli ją ustawicznie mężczyźni z miasta nosić. Miała sługi i ochmistrzynie, stół jéj był z królewskiéj kuchni.

Królewstwo wówczas znajdowali się w Poznaniu dla przypilnowania układów toczących się w Berlinie z Elektorem Brandeburgskim po szczęśliwém ukończeniu wojny ze Szwedem, i z nienawistnym krajowi Rakoczym. Pobyt panny d'Arquien w Poznaniu pierwszą nam podaje o niéj wiadomość historyczną, w któréj wystąpienie to zaraz od pierwszéj chwili, naznaczyła rządami szaréj gąski, skoro nie wahała się zająć celę saméj ksieni poważnéj wiekiem, a klasztor przemienić w dom zajezdny i napełniać go tłumami odwiedzających ją panów i dygnitarzy. A nie byli to zapewne sami starcy gromadzący się dla narady w sprawach publicznego dobra obcéj dla niego młodéj cudzoziemki, skoro między odwiedzającemi znajdował się także i nasz Jan Sobieski, liczący 27 lat wieku, ówczesny Chorąży Koronny. Jedni więc dążyli w celu złożenia uszanowania przez wzgląd na królową, drudzy dla przyjrzenia się młodéj piękności promieniejącéj rozumem wykształceniem i polorem, tak niezwykłemi przymiotami pomiędzy w domowéj ciszy i cnocie wychowanemi Polkami.

Jeżeli więc, jak powiada kronika klasztorna, *było to bycie panny tej z niezbudowaniem inszych*, tak całe postępowanie jéj w klasztorze, dawało miarę czem żywot jéj następny stanie się dla Polski. Ale wówczas nie przewidywano tego, i widziano w niéj tylko dzieweczkę młodą z kształtną powierzchownością z pociągłą twarzyczką otoczoną czarnym bujnym włosem, z małemi ustami, z czarnemi, dużemi, błyszczącemi życiem oczami, z prześlicznemi brwiami i z orlim nosem, zagiętym nieco złośliwie przy końcu. Nie dziw więc, że przy tak wabnéj powierzchowności, przy względach szczególnych królowéj, tłum wielbicieli gromadził się przy boku młodéj piękności, pomiędzy którym panna d'Arquien wierna gorącéj chęci zrobienia karjery, szczególniéj wyróżniała ludzi świecących bogactwem i znaczeniem. Nasz więc Jan Sobieski został na boku, choć nie wiadomo, czy w owym czasie był w szczerym zamiarze małżeńskiego z nią związku, zjawił się bowiem, pan niezmiernie bogaty, dziedzic rozległych włości, przytem Wojewoda Sandomierski, wnuk wielkiego kanclerza, Jan Zamojski, i ten odsunąwszy wszystkich starających się, zyskał pierwszeństwo, tak że już w następnym roku 1658, panna d'Arquine została Wojewodziną Zamojską.

Jaką rolę w związku tym odegrało serce młodéj narzeczonéj łatwo ocenić, zważywszy, że według wiadomości doszłych do naszego czasu, Wojewoda już niemłody był dość ograniczonym, lubił przytem kieliszek i niezmiernie był powolnym na wdzięki niewieście, nie wahając się nawet jako małżonek, uginać kolana przed nadobną buzią. Nie miłość więc połączyła dłoń Marji Kazimiery z pierwszym jéj małżonkiem, od którego odpychana kieliszkiem i płaskością myśli, coraz chętniéj zwracała się ku światu, w którym promienił się młody Sobieski Chorąży Koronny, nieżałujący ani gorących spojrzeń, ani poszeptu miłośnych słówek.

Na sprawy podobne w kraju prawie całym bardzo poglądano niechętnie, gangrena bowiem już tocząca górę jeszcze nie weszła w warstwy cokolwiek dolniejsze, ale co do samego dworu krolewskiego, ten już wówczas miał sławę postępowego, co zerwał z przesądem i z zastarzałemi wyobrażeniami, a co tłumaczy się według dzisiejszych wyobrażeń, że był bardzo niemoralny, naśladujący pod względem obyczajowym współczesny dwór francuzki jaśniejący Montespanami i Lavallicrami. Dwór więc pragnąc przywiązać do rydwanu królewskiego młodego Sobieskiego, już wówczas wsławionego wojowniczemi czynami, przytem bardzo bogatego i pełnego poloru, wziął w opiekę rozwijające się uczucie jego do nadobnéj Wojewodziny Sandomierskiéj, i ciągle się starał o najczęstsze widywanie się z sobą młodéj pary, radząc Sobieskiemu, nieodwlekanie ślubu jak tylko wojewodzina prawdopodobnie wprędce owdowieje.

Zyskanie zaś względów takiego pana jak Sobieski, nawet dla obojga królestwa nie było małą rzeczą. Ojciec bowiem Jana Jakub Sobieski był wojewodą krakowskim i w wojnie Chocimskiéj przyczynił się do zmazania plamy klęsk dawniejszych; matka zaś Teofila Daniłowiczówna była wnuczką sławnego hetmana Żółkiewskiego, który pod Cecorą położył głowę w obronie Rzeczypospolitéj przeciw hordom dziczy tatarskiéj. Obie zaś te rodziny, szczególniéj krwawą dań złożyły pogaństwu, Teofila bowiem matka Jana Sobieskiego, najprzód straciła Dziada rodzonego Żółkiewskiego, starca blisko osiemdziesiątletniego, tak okrótnie przez Tatarów, pod Cecorą zamordowanego.

Wkrótce potem wykupiony z niewoli z Konstantynopola syn jedyny Hetmana Jan a Wuj Teofili, do któréj dostał się także z pod Cecory, umiera zaraz prawie po powrocie na rodzinną ziemię.— Późniéj ginie pod nożem tatarskim ojciec. Nie długo znowu traci Teofila jedynego brata, który uniesiony zapałem, zapędziwszy się wśród Tatarów znalazł śmierć w namiocie pod mieczem sułtana. Zostawszy Sobieską, dochowała się dwóch synów Marka i Jana, starszy Marek w nieszczęśliwéj bitwie pod Batowem, dostał się do niewoli i następnie został ścięty z rozkazu hana tatarskiego:—

młodszy zaś Jan, pod Beresteczkiem przeciw zbuntowanym kozakom idąc po kilkakroć do szturmu na wzgórza zajęte przez tłumy wrogów, pozostał na placu bitwy ciężko raniony w głowę, tak iż zupełnie zwątpiono o jego życiu. Matka więc Jana III. Teofila z Daniłowiczów, w zapasach z dzikiem tatarstwem, straciła dziada, wuja ojca i syna, słowem wszystkich drogich sercu i duszy, życie zaś Jana było już zawieszone prawie na włosku.— Zdaje się zatem, że więcéj ofiar serce kobiety i matki ponieść dla kraju nie mogło, a jednak mając jeszcze ostatniego i jedynego już syna Jana, przygotowywała go zacna matrona na przyszłego mściciela nad pogańską hordą, choćby przyszło i jego głowę złożyć w grobowcu, obok głowy wielkiego hetmana wykupioną od Osmana, która bardzo długi czas u bramy seraju była zawieszoną.

Drogocenna ta pamiątka po wielkim mężu, pomieszczoną została w kościele w Żółkwi, obok szczątków dziada, wuja i brata, dla umieszczenia których oboje Sobiescy nie szczędzili marmuru, złota, rzeźby i wszelkich innych kosztowności, mogących służyć ku ozdobie tego przytułku z szacownemi popiołami. Tam to zacna wnuka Żółkiewskiego, codziennie prowadziła, młodych swych synów Marka i Jana, a opowiadając wielkie czyny poświęcenia przodków, co legli w mogile, wpajała w serce i umysł synów powinności przekazane im od poprzedników, i pokazując tarczę herbową, powtarzała słowa Matek Spartanek: z nią albo na niéj. Czasami znów czytała synom listy dziada pisane z pola śmierci do żony i króla Zygmunta III. malujące prawdziwie chrześcijańską duszę męczennika Cecorskiego, jego miłość do ostatniéj chwili życia niewygasłą dla kraju, i rodziny, i obejmujące ostatnie pożegnania i rady, aby wszelkie usiłowania polskie obrócone były przeciw potędze pogańskiéj dziczy. Jan nasz słuchając tego, słowa rodziców chciwie łowił uchem, a choć matka Teofila, silna duchem, umiała cenić odwagę, a nawet pewną porywczość charakteru, jednak starszego Marka jako bardzo łagodnego i potulniejszego przekładała nad Jana, który od młodego wieku odznaczał się umysłem niezmiernie żywym, rozkazującym, a nawet często wpadającym w uniesienie. I z tych to, Marek legł pod Batowem, Jan zaś został jego mścicielem. (d. c. n.)

---

## TĘCZA.

Niebo pochmurne — drobny deszcz pada,
Na kwiatkach, listkach perlą się łzy;
W wiejskiéj zagrodzie dzieci gromada
Skupiona w kółko od chłodu drży.

Smutno na ziemi, na niebie dżdżysto,
Wtém promień słońca wyjrzał z za chmur,
I wnet tęczową wstęgą przejrzystą,
Złączył wierzchołki dalekich gór.

Cieszą się dzieci widokiem tęczy,
Srebrny ich głosik brzmi w całéj wsi,
Śliczny ten ziemski wianek młodzieńczy,
Podziwia wianek co w niebie tkwi.

Wtém przeszedł człowiek, spojrzał na dzieci,
Potém na wstęgę dalekich gór,
I rzekł: „Drobnostka, to słońce świeci
W małych kropelkach z deszczowych chmur.”

* * *

Smutno na ziemi — schylone czoła
Przygniata ciężki, nieznany żal,
Umilkły śmiechy — cisza dokoła,
Słychać szmer tylko Wiślannych fal.

Wtém jękła w dali gęśla lirnika,
Ozwał się tęskny, żałośny śpiew;
Melodja łzawa, ponura, dzika,
Złączona z szumem samotnych drzew.

Szybko dolata do wiejskiéj strzechy,
By łzy osuszyć, ukoić ból,
I wnet na licach błysły uśmiechy,
Bo to piosenka z ojczystych pól.

To niby tęcza w krainie marzeń,
Która zwiastuje tęsknoty kres,
To jasny odblask doznanych wrażeń
Powstrzymujący potoki łez.

Młoda dzieweczka sercem rozumie
Sielskiéj piosenki uroczy ton,
Co wpływ wywiera taki na tłumie,
Jak w ranek święta kościelny dzwon.

O, bo ta czysta dusza anioła,
Poznała wieszczych potęgę słów....
Lecz sceptyk słysząc śpiew ten zawoła:
„Poezja — cacko młodzieńczych głów!”

Nie pojął słowa olbrzymiéj treści
Snać go omylił zwodniczy słuch
Nie wie że pieśnią są łzy boleści,
Łzy w których Boży połyska Duch.

*Seweryn Zaleski.*

---

* * *

Ze wszystkich rodzajów przemysłu najbliżéj obchodzącym zdrowie, jest bez zaprzeczenia wyrób chleba i jego wypiek. Dziwną jednak obojętnością ludzi, stan piekarstwa nie tylko żadnéj od wieków nie uległ zmianie, ale nawet jak u nas spada coraz niżéj, tak że wkrótce, sprowadzając z zagranicy wszystko, od zapałki do fortepianu, od szpilki do machiny parowéj, od kiszonéj kapusty do morskiego raka, od lokaja do uczonego, sprowadzać będziemy w końcu chleb i bułki, na utrapienie kraju a wstyd naszych piekarzy. Mniejsza bowiem już o białość chleba, bo aby był dobry, to i troszkę przyśniady zje się ze smakiem, ale starannego i dokładnego wypieczenia, żeby przy ujęciu palce w nim nie tonęły, żeby przy jedzeniu nie mazał się, zębów nie zlepiał i nie dławił, żeby wreszcie był chlebem a nie ciastem, każdy wymagać ma prawo, i wymagać powinien, bo tu idzie nie o grymas, ale o zdrowie. Tym czasem u nas dzieje się przeciwnie, mamy bowiem bogatych piekarzy, a chleb niezmiernie ubogi: mamy powozy w których panowie piekarze wspierają się z wygodą, a nie mamy chleba wypieczonego należycie; mamy nareszcie ostrygi i szampany przelatujące z niezmierną łatwością przez gardła panów piekarzy, ale brak nam chleba, coby nie dławił i nie dusił, i dawał zdrowy pokarm, a nie klajster do zalepiania okien. Dlaczego tak się dzieje? trudno odgadnąć, uważam tylko, że każde obniżenie ceny, widocznie okrada chleb z czasu na przebycie w piecu przeznaczonego; za każdym urwanym z niej groszem na korzyść konsumentów, chleb zmniejsza się ale ciężeje, i wychodzi na świat z bokami zaklęśniętemi, popękanemi, ze skóreczką cieniuchną, bledziuchną, pomarszczoną i podziurawioną, jak biedak w wytartym łachmanie, niedomagający na zdrowiu, i z kwaśną miną poglądający po świecie.

W Anglji mięszanie chleba, a jak nazywają w Sandomierskiem *myszenie*, odbywa się od pewnego czasu mechanicznie, za pomocą machiny poruszanéj ręką ludzką lub parą, i utrzymują, że chleb niezmiernie przez to zyskuje na smaku i czystości, fabrykacja na oszczędności, a czeladź piekarska na ułatwieniu ciężkiéj ich pracy.—

Gdyby to Anglicy, tak niewyczerpani w wynalazkach. wynalezli machinę uczącą grzeczności i przynależnego uszanowania dla kobiet, natychmiast w każdym omnibusie warszawskim pomieściłbym jednę, przy samych drzwiczkach, aby każdy wchodzący, szczególniéj z owych młodych lwów... brukowych, wprzód nim zabierze miejsce, przeszedł przez jéj ręce. Niegrzeczność bowiem tych papinkowatych dandysików, bundziucznie szafujących odwagą w omnibusie, czasami bywa tak nieznośną, że dobrze wychowana polska niewiasta, a tymbardziéj panienka, raz jéj doświadczywszy, pewno drugi raz ani pomyślą o jeździe omnibusem. Machina więc ucząca grzeczności dla kobiet, coś w rodzaju młocarni o rzemiennych cepach, mogłaby mieć wielkie powodzenie, ma się rozumieć u nas, a szczególniéj też w Warszawie, bo w innych ucywilizowanych społeczeństwach, uprzejmość dla kobiet, jest prawem ogólnie szanowanem. —

W Londynie Towarzystwo czyścicieli obuwia, istniejące już od r. 1854 podług gazeciarskich doniesień, coraz się pomyślniéj rozwijając, w roku przeszłym przyniosło zysku na każdego członka około osiemset złp. Towarzystwo to, składa się głównie z samych malców, bo osoby wysoko położone jak członkowie parlamentu, sądownictwo, i t. p. są tylko członkami honorowemi, albo prezydentami. Gdyby się u nas podobne stowarzyszenie zawiązało, z celem nie tylko oczyszczania obuwia, ale i strzepywania pyłku i kurzu z serc ludzkich, jestem pewny, że powodzenie miałoby wielkie.

Londyńska korporacja czyścicieli obuwia, złożona z ośmiu oddziałów, podzieliła pomiędzy siebie Londyn, zrobiła kartę miasta i uorganizowała się według jednego planu, ażeby dzieciom biednych rodziców pochopnym do włóczęgi, dać pracę właściwą ich siłom, utrzymanie zdrowe, i zapewnić możność zebrania zasobu, dla ułatwienia w przyszłości obioru pewnego stanu. Ubiór tych małych towarzyszy stanowi czerwona albo sina bluza, cała, czysta, trzewiki i czapeczka z pewną fantazją okrywająca głowę. Każdy ma numer i z głównéj kwatery, o ósméj godzinie rano po śniadaniu, wychodzi na miasto na robotę. Po powrocie o szóstéj wieczorem, oddają zarobek, który się liczy na ich część po strąceniu kosztów ogólnych i kwoty składanéj w kassie oszczędności.— Niektórzy mają już po 400 złp. tym sposobem zebranego funduszu. Po wieczerzy następuje spoczynek, dla rozrywki zaś zakład utrzymuje dla nich stosowne książki i dzienniki illustrowane; późniéj zaś udają się do szkółki wieczornéj, do któréj codziennie obowiązani są uczęszczać. Gdy wiek zmusza ich do obrania innego rodzaju pracy, komitet, zajmuje się ich umieszczeniem jako służących, komissjonerów, lub też ułatwia im pomieszczenie w kolonjach, w wojsku, albo w marynarce.

Nie dawno dla wszystkich ośmiu Towarzystw wydany został wielki wieczór i herbata, na który, wszystkie stowarzyszenia przyszły w swych strojach, z chorągwiami. Zabawa niezmiernie była ożywioną, nie wychodząc jednak z granic przyzwoitości i umiarkowania. Orkiestra z małemi przestankami przygrywała ciągle, były przytem mowy, podwieczorek, a Lord Charles Russell rozpoczął swe przemówienie od wyrazów.

Moje dzieci i ja także zaczynałem od czyszczenia butów. Było to w szkole Westminsterskiéj, ale zamiast zapłaty, odbierałem tylko razy, często zadawane temi samemi butami, które oczyszczałem.

We Lwowie stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczéj, może również służyć za wzór do zawiązania podobnych stowarzyszeń po innych naszych miastach. Stowarzyszona czeladź, w niedzielę, święta i poniedziałki pobiera naukę pisania, czytania, rysunków, chemji doświadczalnéj w popularnym wykładzie, tudzież kościelnéj historji polskiéj. Najlepszym dowodem dobreg o pod względem moralności wpływu na stowarzyszonych, są uzbierane oszczędności, które czeladnicy w bezprocentowéj kassie u przełożonego składają. W roku zeszłym złożono do przechowania przeszło 1700 złr. grosz ten uratowany od zmarnowania, wydaje pochlebne świadectwo o moralności czeladzi należącéj do stowarzyszenia.

Najchełpliwsze jednak z pomiędzy wszystkich stowarzyszeń na całym świecie, a wybornie charakteryzujące Francuzów, jest w Paryżu bractwo obowiązku swobody złożone z dwóch cechów ciesielskich. Jedno bowiem z nich wywodzi się od cieślów, którzy pod przewodnictwem Saubinsa stawiać mieli rusztowanie przy budowie piramid egipskich; drugie od cieśli budujących Świątynię Salomona, których towarzyszami mieli być święty Józef, a nawet sam Chrystus.

Więcéj więc starożytniejszego początku korporacji ciesielskiéj, trudno zaiste wymyśléć, dziwię się tylko, że cech paryzki nie wywiódł się od stworzenia świata.

Mowiąc o chełpliwości i zarozumieniu, nasuwa się mimowoli na myśl napaść Kurjera Niedzielnego na Waszego tygodniowego gawędziarza; o téj napaści cokolwiek obszerniéj pomówię w następnym numerze. Zaręczyć tylko mogę Redaktora Kurjera niedz. że wystąpienie jego jakkolwiek bardzo szorstkie, ani troszeczkę mnie nie rozgniewało, tylko zasmuciło, że jeszcze do dziś dnia nie możemy wydobyć się z atmosfery panegiryków, i że każde szczerzei otwarcie wypowiedziane zdanie, szczególniéj o pracach naszych malarzy, jak tylko nie jest hymnem pochwalnym, zbiorem pochlebstw i wyszukanych grzecznostek, ale choćby najlżejszą, najdelikatniejszą naganą, nie odbiera odpowiedzi co uczy i objaśnia, ale potok słów, dowcipkowań i frazesów, szumnie co prawda brzęczących ale próżnych... pustych... niestety!

---

## SZARADA.

*Pierwsze, trzecie,* prowadzą, płynie drugie wsteczne,
*Wszystkie* przedstawia ją nam wypadki odwieczne.

*T. A.*

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Tajniki**).

---



Zwiedzaliśmy w tych dniach świeżo otworzony magazyn panien Kuhnke, w domu Missjonarskim. Urządzenie jego, harmonijnie odpowiada pełnem gustu przedmiotom jakie co chwila wpadają nam tu w oko. Panny Kunhke w tych dniach właśnie wyjechały do Paryża po nowy zasób ubiorów letnich, za dwa tygodnie najdaléj, będą już z powrotem. Wtedy opiszemy szczegółowo wszystko co nam się widzieć zdarzy, dziś wspomniemy tylko o kilku wiosennych sukniach, wykończonych ze zwykłą starannością.

Najstrojniejsza z nich czarna jedwabna, długa, cokolwiek powłóczysta, miała u dołu wypuszczoną wązką na dwa palce falbaneczkę. Stanik marszczony wkoło, spięty był z przodu na trzy kokardy ze wstążki, od ostatniéj spadały długie końce. Rękawy złożone z trzech buff, obciśnięte u ręki w wązki mankiet, na ramionach ozdobione były kokardami z szerokiéj wstążki. Do téj sukni miał iść wielki kołnierz z koronki Irlandzkiéj, z spadającemi zębami na przodzie. Na okrywkę miał służyć krótki burnusik *poult de soie* z kołnierzykiem stojącym. Kapelusz dla téjże saméj osoby, przygotowany był czarny jedwabny, z opuszczoną główką białą, pokrytą czarnym tiulem w deseń; środek ronda przybrany był czarnem strusiem piórem

nad czołem szedł diadem z czarnych i białych kwiatów, boki białe i szarfy czarne dopełniały ubrania.

Inna suknia czarna z fularu wełnianego, miała u dołu dziewięć wązkich falbanek. Stanik postyljoński, z karoczkiem w tyle, spinał się z przodu na hebanowe guziki. Oprócz tego dane były trzy grube pletnie, spinane po bokach na baryłki. Boczki u pleców, odznaczane były pletniami. Rękawy ścięte do łokcia, otwarte, miały mankiet wygarnirowany *à la vieille* i takiż sam epolet.

Suknia żaknotowa czarna w białe kwadraciki, zakończona była u dołu falbanką szeroką na ćwierć łokcia, z główką wypuszczoną w górze. Przy obrębku szedł gładki naszyty biały sutasz. Stanik marszczony wkoło, miał plecy ściągaue, które można było rozpuścić lub zacisnąć według woli. U szyi był nie wielki kołnierzyk stojący z opuszczonemi z przodu zębami, objęty białym sutaszem. Pod spód miała iść biała karbowana fryzka, i takież mankieciki pod rękawy. Szarfa czarna jedwabna z białym brzeżkiem wiązała się z przodu na kokardę. Do téj sukni dodana była osobna pelerynka z falbanką objętą białym sutaszem; a do wyjścia na ulicę miała służyć chustka z takiegoż żaknotu, obszyta dosyć szerokim wolantem.

O kapeluszach i płaszczykach z tegoż magazynu, nie wiele dziś powiemy, czekając z tém na powrót panien Kuhnke. Słyszeliśmy tylko że burnusiki okrągłe, zwane rotondy, z tego samego jak suknie materjału bardzo będą w tym roku używane.

Pani Klementyna, oczekuje także świeżego transportu słomkowych kapeluszy i różnego rodzaju okrywek. Uważaliśmy w tym magazynie ładne kapotki *poult de soie*, przybierane kwiatami z piórek w cenie około złp. 60. Wszystkie tegoroczne kapelusze tém się odznaczają. że mają karczki wielkie, klarowne, z zębem na środku, w kształcie rogowych chusteczek.

Fanszoniki na głowę, powszechnie używane. Widzieliśmy u pani Klementyny bardzo ładne koronkowe czarne, podpięte w diadem ruszą ze strzyżonéj materji. Końce spinają się na sukni pod kołnierzykiem, spojone czarną kokardą.

Takież same fanszoniki muszlinowe, podpięte za równo ruszą z materji ładnie dopełniają rannego ubrania. Objęte są wkoło wszywką haftowaną i tulikiem.

Zasługują też na wzmiankę śliczne chłopki muszlinowe białe, ogarnirowane ruszą z muszlinu, z koroneczką czarną u brzegu. Długa kokarda z wązkiéj wstążki czarnéj, wpięta po za garnirunkiem i druga taka z tyłu czepeczka, stanowią całe jego przystrojenie. Cena tych czepeczków po złp. 20,

Są także śliczne chłopki haftowane czarną bawełną, ogarnirowane gipiurką nicianą, czarną z białem.

Siateczki zuawskie ciągle się utrzymują, zalecamy je szczególniéj pod okrągłe słomiane kapelusze Widzieliśmy u pani Klementyny siatki takie na rozmaitą cenę. Najlżejsze na lato są cienkie jedwabne przerabiane perełkami z ławy.

Jedne z nich ubrane w diadem ruszą z koronki przepinanéj wstążką; inne mają tylko jednę rozetę z koronki wpiętą po nad czołem, pomiędzy zbliżonemi do siebie niobami, jakie powszechnie noszą.

---

## Nowości Zagraniczne.

*Le moniteur de la mode.* Zbyt wielkiéj zmiany w formie kapeluszy nie ma dotychczas ronda zawsze dosyć w górę podniesione, a przez to spód mocno nagarnirowany. Karczki robią bardzo szerokie, pokryte rogówką koronkową.

W jednym z magazynów widzieliśmy przygotowane ładne ubranie wiosenne dla dziewczynki które tu szczegółowo opiszemy.

Sukienka popelinowa popielata, miała stanik kwadratowy wycięty, rękawki krótkie, pod spód szła szmizetka szwajcarska muszlinowa w zakładki, ogarnirowana u rąk i u szyi wązką walansienką. U dołu dany był pas z mantyny czarnéj naszyty w arabesk białym sutaszem. Pasek szwajcarski czarny, stosownie szamerowany, wiązał się z tyłu na kokardę. Do téj sukienki przygotowany był kapelusik okrągły, opuszczony nad czołem. przystrojony czarnem i białem piórkiem.

Inne sukienki z alpagi angielskiéj, przybrane były pletnią czarną, sukienki fularowe w drobne paski miały takież same paletociki.

Noszą ciągle kołnierzyki płócienne, haftowane z brzegu i w rożkach. Rękawki z szerokim mężkim mankietem, najwłaściwsze są pod teraźniejsze, nie bardzo szerokie rękawy.

Uważaliśmy bardzo ładne staniki muszlinowe do popielatych spódnic, składają się całe z bufek i wązkiéj gipiury przewłóczonéj aksamitką czarną. Rękawy do tego stosowne, to jest złożone z bufek i gipiury.

---

## O NACZYNIACH NAKŁADANYCH SREBREM (PLATEROWANYCH).

Użycie naczyń srebrnych, jakkolwiek po zamożniejszych domach powszechnie przyjęte, przedstawia wszakże wiele niedogodności, dlatego zwra-

camy uwagę na również piękne, lecz mniéj kosztowne wyroby nakładane blaszką srebrną bądź na srebro nowotne (nayzylber) bądź na miedź.

Łyżki, imbryczki, wazy, tace i lichtarze srebrne przy należytem zachowaniu bardzo długo trwać mogą, jak nas o tém przekonywają tak zwane srebra familijne, które zawsze szacowne przechodzą od jednéj do drugiéj generacji, zważywszy jednak iż kapitał na nie wyłożony bez procentu marnieje, że skradzione lub innym sposobem uronione na znaczną stratę narażają właściciela, wreszcie przy zmieniającéj się modzie nie zawsze estetycznie wyglądają, uważamy za właściwe zastąpić je innemi, również dogodnemi, trwałemi, eleganckiemi, a nie tak drogiemi.

Do cynowych łyżek, półmisków i miedzianych dzbanków pewno się nie wrócimy, choćby dla téj prostéj przyczyny, iż się nigdzie nie sprzedają, pozostają nam więc albo tak zwane najzylbrowe, albo platerowane.

Z nowotnego srebra (najzylbrowe) wyroby, a szczególniéj też łyżki, w kilka dni po użyciu, tak nielitościwie żółkną, iż im żadne czyszczenia nie pomogą; wyglądają wtedy jakby woskowe, czyniąc nader niemiły widok. Są wszakze amatorowie, których ta żółtość nie razi, chętnie się niemi posługują, przestrzegając tylko, aby nie były zaśniedziałe, lecz do możliwego połysku wyczyszczane.

Nie narzucając nikomu naszego gustu, otwarcie wyznajemy, iż wyrobom platerowanym, chociaż nieco droższym dajemy pierwszeństwo nad najzylbrowemi.

O pierwszych też słówko chcemy powiedzieć: wyroby platerowane, jeśli starannie i sumiennie odrobione, nader są trwałe, z wyjątkiem jednych łyżek, które codziennie używane i najczęściéj przez służących niewłaściwie czyszczone, najdłużéj w znośnéj postaci przez lat trzy lub cztery, trwać mogą. Nadto naczynia platerowane, gdy się wytrą, niewielkim kosztem dają się łatwo w fabryce odrestaurować i powlec nową blaszką srebrną.

Nie potrzebujemy, chociaż w tym względzie udawać się do zagranicznych fabryk, gdyż mamy wyborną krajową Józefa Frażeta, (Fraget), która rozwijając się i ulepszając od lat 40, daje nam wyroby nieustępujące najlepszym francuzkim i angielskim. Prawda, że wyroby frażetowskie są droższe od innych krajowych, lecz nieporównanie lepsze tak co do materjału, jak i estetycznego wykończenia, a przytem dają nam jeszcze tę korzyść, iż po ich zużyciu, to jest gdy srebrna powłoka się wytrze, fabryka przyjmuje takowe w $^1/_3$ części pierwotnéj wartości.

Fabryka ta, któréj stempel powszechnie znany znajduje się w Warszawie przy ulicy Elektoralnéj (N. 16) i ma dwa swoje magazyny, przy ulicy Senatorskiéj i Krakowskie Przedmieście, oraz w Płocku, Kaliszu, Lublinie, i t. d.

Przeglądając Cennik téj fabryki (bez wyrażenia roku, ale zdaje się najnowszy, gdyż nam w jednym z Warszawskich magazynów udzielony został), natrafiamy we wstępie na rozumowanie rachunkowe, w którém właściciel zakładu okazuje, iż korzystniéj jest kupować platerowane, niż srebrne wyroby.

„Praktyczność użycia moich wyrobów nie mogę lepiéj dowieść jak przez prostą rachubę, liczby przecie najlepiéj przekonywają i tak np.

Jeden tuzin łyżek srebrnych, w paskach lub fasonowanych, waży około łutów 84, po złp. 6 . . . . . . . . . złp. 504

Stracone procenta od kapitału przez lat 5 po 5% . . . . . . . złp. 126

Strata wagi przez użycie 1% roczn. „ 25 g. 6.

Tuzin łyżek srebrnych, po 5 lat kosztuje złp. . . . . . . . . . . . 655 g. 6.

Zostaje wartość srebra po złp. $4^2/_3$ „ 392

Strata więc wynosi złp. . . . . 263 g. 6.

Jeden tuzin łyżek w paskach lub fasonowanych z najzylbru srebrem nakładanych kosztuje. . . . . . . . złp. 54

Stracone procenta z kapitału przez lat 5 po 5% . . . . . . . . „ 13 g. 15.

Kosztuje razem złp. 67 g. 15.

Fabryka kupuje napowrót w $^1/_3$ części ceny kosztującéj . . . . . złp. 18

Strata wynosi złp. . . . . . 49 g. 15”.

Naturalnie, iż mając ten sam użytek, każdyby wolał stracić złp. 49 niż 263; na kosztownych tacach i wazach różnica w stracie dochodzi paru tysięcy. Jedną tylko nad tém względném obliczeniem zrobiliśmy uwagę, czy wyroby platerowane nawet frażetowskie, będąc w ciągłem użyciu wytrzymują lat 5? Lubo to powyższy rachnnek nieco modyfikuje, zawsze jednak bezpieczniéj i oszczędniéj kupować platerowane, niż srebrne wyroby.

Dla użytku Czytelników wynotowaliśmy z powyższego cennika, ceny niektórych ważniejszych pospolitszego użycia przedmiotów.

Para lichtarzy stołowych od 35 do 70 złp. co zależy od wielkości i ozdób z różnemi nazwami. Pamiętać jeszcze należy, iż wyroby platerowane na najzylbrze są zawsze droższe nieco od platerowanych na miedzi. Za 40 złp. para lichtarzy sre-

dniéj wielkości z pięknem odrobieniem, wielce się nam podobały. Para lichtarzy do fortepianu na dwie świece od 60 do 66 złp. gr. 20. Szczypce od świec, od 10 do 15 złp. Tacki pod świece taką samą mają cenę. Lichtarzy para do cygar, 50 do 70 złp. Lichtarze ogrodowe z kloszem, sztuka 70 złp. Koszyki do ciast i owoców, zewnątrz złocone lub białe od 20 do 160 złp. Cukiernica od 32 do 110 złp. Imbryki do herbaty od 25 do 140 złp. do kawy od 36 do 145. Garnuszki do śmietanki od 20 do 54 złp. Wazy do zupy okrągłe i owalne, od 70 do 450 złp. Za 280 złp. waza na 12-cie osób bardzo piękna.—Solniczki dubeltowe na postumentach od 20 do 28 złp. pojedyncze od 10 do 15 złp. Tace, stosownie do wielkości i ozdób, od 15 do 600 złp. Podobała się nam taca z drzewa mahoniowego blisko na 25 szklanek, bogato w guście rokoko ozdobiona, suknem zielonėm podklejona, kosztuje złp. 150, Masielniczka z naczyniem do lodu lub wody dla ochłodzenia masła od 80 do 100 złp. Kubki do wódki lub wody, od 5 do 40 złp. Tuzin noży stalowych 60 złp. widelców 54. Łyżek gładkich lub z ozdobami 54 złp. Łyżeczek do kawy tuzin złp. 22. malutkich do czarnéj kawy 18 złp. Noże do masła, lub sera od 6 do 12 złp. Tuzin podstawek pod sztucce 24 złp.

## Opis wzorów bielizny i czesania włosów.

N. 1. Penioar z nanzuku albo półbatystu, u dołu powinien mieć szerokości łokci $6^1/_2$, długości z tyłu 2 łokcie. Karczek może być osobno krajany, lecz najpierw ułożony w fałdki, a penioar do niego przymarszczony, albo téż cały penioar robi się z jednéj sztuki i obszywa wkoło falbanką haftowaną półćwierci łokcia szeroką i szlakiem także półćwierci łokcia szerokim gładko przyszytym, składającym się z zakładek i wstawek haftowanych. Na około szyi daje się woda marszczona i wązka falbanka.— N. 2. Druga strona penioaru.— N. 3. Kanzut z czarnego tiulu wełnianego obszyty wstawką i koronką.— N. 4. Wzór czesania głowy. Jeżeli włosy małe, kokarda przypina się gotowa; z przodu pod nioby nad czołem podkładają się tapiry na grzebykach.— N. 5. Między niobami używane są rozety z czarnéj koronki umocowane na elastyce. — N. 6 i 7. Wzór czesania głowy. Grzebień i grzebyki z czarnéj lawy. — N. 8. Sukienka dziecinna z półbatystu albo nanzuku ma staniczek ułożony w zakładki i wstawki haftowane. Rękawek krótki przymarszczony do ramienia, zakończony wstawką i falbanką.— N. 9. Koszula dzienna wszyta do haftowanego paska.— N. 10. Kaftanik ranny z cienkiego nanzuku. Najpierw uszyć trzeba w drobne fałdki tyle, ile potrzeba na wykrojenie karczka, który formuje czworograniasty kanzut, następnie przymarszcza się kaftanik jak rysunek wskazuje, i naszywa falbankami z listewką przystębnowaną w pośrodku. Plecy mogą być zupełnie gładkie albo takie same jak karczek na przodzie. N. 11. Spódniczka dla dziecka z białego szyrtyngu kraje się w poprzek, żeby tylko jedno było zeszycie. U dołu robią się zakładki i obszywa fałdowaną falbanką. W stanie przymarszcza się spódniczka do gładkiego paska i zapina na guziczek.— N. 12. Koszula dzienna przymarszczona do paska haftowanego. Naramka i pasek koło rękawa także haftowany.— N. 13. Czepeczek muszlinowy przymarszczony na cienkich białych sznureczkach. Denko daje się gładkie, falbanki muszlinowe.— N. 14. Spódnica półbatystowa odpowiednia do penioaru. Cała spódnica szerokości ma łokci $8^1/_2$. Przedni bryt ułożony w kształcie fartuszka ze wstawek, falbanek, zakładek i bufek, powinien trzymać szerokości u dołu łokci $1^1/_4$ do stanu stopniowo się zwęża, i wszywa do paska na dwa palce szerokiego. — N. 15. Majtki dla dziecka 6-cio letniego. N. 16. Prześcieradło webowe do objęcia kołdry powinno bydź na rogach ścięte i zastosowane do jéj wielkości. Bufka marszczona daje się z gęstego deseniowego ptifeniu albo kratkowanego półbatystu i obejmuje na około pliską webową w której się robią dziurki a do kołdry przyszyć trzeba guziki z perłowéj konchy nie zbyt małe. N. 17. Poszewka powinna mieć długości łokieć $1^3/_4$ szerokości $1^1/_2$. Bufka szeroka 6 cali.

## *Opis karczka do koszuli damskiéj, szmizetki do kołnierzyka, i kapeluszy.*

N. 1. Przednia część karczka kraje się z dubeltowego płótna i haftuje na brzegu atłaskową robotą.—N. 2. Połowa przedniéj części koszuli, która się zastosowywa na długość do wzrostu osoby. Znaki wskazują gdzie koszulę zmarszczyć i gdzie gładko przystębnować do karczka. — N. 3. Połowa pleców koszuli.— N. 4. Rękaw.— N. 5. Przednia część szmizetki do kołnierzyka.— N. 6. Połowa pleców szmizetki. — N. 7. Całość szmizetki. — N. 8. i 9. Ronda do kapeluszy damskich. — N. 10. i 11. Karczki. — N. 12. Druga połowa ronda idąca do główki.

## KORRESPONDENCJA.

Pani Hi. Wierz. w Ja. Tiul i aksamitka kosztują złp. 40.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołączają się wzory bielizny i czesania włosów, oraz forma karczka do koszuli damskiéj, szmizetki do kołnierzyka, i kapeluszy.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

# Dodatek do Nru 17 Tygodnika Mód.

*Warszawa dnia 25 Kwietnia 1863 roku.* *13 Marca.*

# MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

**Paulinę z L. Wilkońską.**

## CZĘŚĆ II.

Już śpiewa u wrót orszak cały
Przygany dla sąsiadów, dla siebie pochwały.
*K. Koźmian.*

Master of Life!
Must our lives depend on these things?
*Longfellow.*

Dnia jednego wbiegła Klocia z wielką radością do pokoju guwernantki swojéj, oznajmiając: że państwo Tarszowie obchodzą w przyszłą niedzielę okrężne u siebie, i *cały* zaprosili Trock.

— Mama zaproszenie przyjęła i jedziemy wszyscy: panna Anna także! Wezmę różową sukienkę.... Och, będziemy tańczyć! — i klasnęła w dłonie.

Przy obiedzie powtórzyła jéj pani Rożniszewska też nowinę, dodając:

— Uprzedzam zatém, byś pani swoją przysposobiła *tualetę*.

*Tualetę*! Mój Boże! Anna miała tylko białą muślinową sukienkę na strój cały — nową i świeżą wprawdzie, lecz nader skromną, a pomyśleć o innéj było czas za krótki. Zajęła się więc tylko odświeżeniem téj którą miała, oszyciem koronką, nawleczeniem rękawków wstążką lilla i upięciem podobnéjże szarfy. Ale głowa?.... Wyjrzała przez okno: były tam w ogrodzie jeszcze różne wdzięczne dziateczki jesieni, któremi przystroić się mogła.

Nadszedł wreszcie dzień świętny — owa niedziela tyle pożądana, zwłaszcza téż przez Klocię. Ale.... podobno, że i Anna powitała ją myślą jaśniejszą — młodą!

Pani Rożniszewska kazała obiad podać nieco wcześniéj — nad czem panna Klementyna krzywiła się nieco — bo zaraz po obiedzie miano do Zalas pojechać.

Anna już miała uwity wieniec z ślicznych lilla astrów, pełnych, cieniowanych, z rodzaju karłowatych, a więc niedużych. Powkładała końce korzonków starannie w namoczone słomki, by świeżość przechowały — nauczyła ją tego babka, znająca wiele podobnych tajemnic gotowalnianych. I wieniec ten, swieżutka sukienka i wstążki wcale ładną utworzyły całość. Wdzięcznie też w tym stroju wyglądała młoda dziewczyna, jadąca po raz pierwszy w życiu na taneczną zabawę.

Klementyna — niechcąca tańczyć wcale, bo może towarzystwo nie odpowiadało jéj wymaganiom — włożyła suknię czarną atłasową, zachodzącą pod szyję, a we włosy wpięła piękny turkusowy dijadem.

Panie wsiadły do wielkiéj półtoracznéj karety. Pan Łasiński podążał za niemi karyklem.

Zalasy powabnie leżały: po za lasem, wśród łąk zielonych, i zdala już było widać dwór obszerny, murowany. Gdy kareta zatrzymała się przed umajoną wystawą, wybiegł na powitanie gości gospodarz, a od strony ogrodu nadchodził właśnie pan Stanisław z jakimś panem poważnéj, pięknéj postawy, z nieco podszroniałym już zakręconym wąsem, fizjonomii otwartéj, ożywionéj: typ istny obywatela wiejskiego. Klocia poszepnęła Annie, że to jest pan Zdarnowski.

W salonie przeszło trzydzieści było osób płci różnéj i wieku różnego. Ruch i szmer powitalny rozległ się w koło przybyłych.

Panna Antonina z życzliwym wyrazem uscisnęła rękę guwernantki i posadziła ją w gronie panien.

Niezadługo potém posłyszano wesołe okrzyki, śpiew wielu głosów, rzępolenie wiejskich skrzypków i wtór basowy *maryny*. Liczna gromada stanęła przede dworem — panie i panowie wyszli pod wystawę. Raźna dziewucha, przewodnica, złożyła wieniec z laskowych orzechów i rumianych jabłuszek, przystrojony kwiatami, pozłotkiem, wstęgą czerwoną i *różnościami różnemi*. Parobek

przewodnik przyniósł splot sążnisty z kłosów wszelakiego zboża — i brzmiały zwykłe śpiewy, różne docinkowe zwrotki dla ekonoma i włodarza, pochlebstwa i pochwały dla dziedziców, dowcipne przymówki dla panów sąsiednich — jak to zwykle bywa. Wyglądała pani *gdyby róża*— pan *chodził w złocie* — gdy i żwawa jakaś zaintonowała dziewuszka:

„U naszego jegomości okienka szklanne.
A u pana grodzielskiego wiechciem zatkane.”

— Oj prawda, że wiechciem! — zasmiał się wesoło dziedzic Grodzielska, i śmiałemu dziewczęciu w dłoń sypnął kilka złotówek na *czerwoną wstęgę*. Lecz tym datkiem nie okupił się bynajmniéj od dalszych konceptów, bo wysunęła się niebawem rześka gosposia w sutych koralach, i donośnym zaśpiewała głosem:

„U naszego jegomości jest żonka i dziecie,
A u pana Grodzielskiego to pustki na świecie.”

Śmiech powstał w około, a kobiecina tém zachęcona, nuciła daléj:

„Toć też żądno mu żoneczki, różanego kwiata,
Bo jak woda w czystym zdroju płyną młode lata.

Pan Stanisław śmiejąc się serdecznie, poskoczył ku ochoczéj gosposi i wziął ją wpół do dziarskiego oberka — pewnie, ażeby dalszym improwizacjom zapobiedz.

Czyli to zaś istotnie były improwizacje, o tém szeroko i różnie mówiono. Pani Rożniszewska— jak uważano — uśmiechnęła się przymusowo, a panna Klementyna pogardliwie piękne skrzywiła usta — i dosłyszał ktoś wyraźnie, jak do pana Łasińskiego poszepnęła:

— Bez najmniejszego taktu! Boć ta niedorzeczna improwizacja....

— Była oczewiście naprzód ułożoną przez jakiegoś niedowarzonego kletę — odrzekł przyjaciel — ciekawość tylko — dodał ciszéj — czyli to była aluzja do pani, czyli też..... Ale zresztą, przecież wszystkim wiadomo, że pani jesteś jedynym celem uwielbień pana Stanisława.

Klementyna dumnie podniosła głowę, a pan Łasiński do Stanisława przystąpił, który właśnie oberka zakończył.

— Jakież to głupstwo! — wymówił, doń na ucho, ze zwykłą sobie rubasznością.

— Co takiego?

— Śpiew téj baby.

— Ej! Zwykłe to koncepta. Nie chciałem tylko, by miarę przebrała.

— Z jakiego téż-to wypłynęło źródła?

— Żart, nic więcéj — i Wojarowski podał rękę przodownicy, proszącéj go do koła.

Powoli panie i panowie do salonu wrócili, a gromadka hułała sobie na dziedzińcu. Ale nie próżnowano i w salonie: zaproszony organista otworzył cały fortepian, zanim stanął jakiś skrzypek— i żwawa polka zadźwiękła. Pan Stanisław puścił się z córką gospodarzy po szklistéj posadzce, i Anna także zwinnego dostała tancerza.

— Jak się nazywa guwernantka Kloci? — zapytała pani Zdarnowska Klementyny która, oświadczywszy że tańczyć nie będzie, przy matce miejsce zajęła.

— Jarosławska.

— Anna Jorosławska?

— Tak.

— To z Mrowina!

— Z Mrowina?! — zawołały jednogłośnie matka i córka.

— Tak jest: Mrowin należał do Jarosławskich. Czy panie nie wiedziałyście o tém?

— Nie. Nie słyszałyśmy nazwiska ex-dziedziców. Mąż mój nic nie wspominał, a guwernantki nie zna jeszcze wcale.

— Tak, Mrowin był własnością jéj rodziców. Znam te stosunki, bo moi kuzynowie, państwo Żuryńscy, mieszkają w sąsiedztwie Mrowina, i mówili mi nieraz o paniach Jarosławskich. Chwalili zawsze pannę Annę szczególniéj. Zapewne jesteście panie z niéj bardzo zadowolone.

— O, tak — odrzekła pani Rożniszewska— ale też i Klocię moją łatwo prowadzić: dziecko dobre i zdolne.

— O, wiemy o tém. — Ale dlaczegóż panna Klementyna nie tańczy?

— Męczę się zanadto — odrzekła panna z niechęcią.

— Jak ładnie tańczy panna Jarosławska — zagadała znowu pani Zdarnowska — tyle ma gracyi, tyle wdzięku!

Klementyna spojrzała: Stanisław sunął właśnie po gładkiéj posadzce z Anną — a młoda dziewczyna jego silném unoszona ramieniem, zaledwie drobną nóżką ziemi sięgała.

— Och, a Klocia! — wymówiła znowu pani Zdarnowska, gdy dziewczątko w różowéj sukience zgrabniutko poskoczyło przed niemi.

Lica pani Rożniszewskiéj rozchmurzyły się nieco.

Gdy tony polki umilkły, powstała Klementyna i przechodząc obok Anny, wymówiła:

— Chodźmy trochę do ogrodu, duszę się tutaj.

Anna, jakkolwiek zgrzana po tańcu, bezwłocznie żądaniu temu zadość uczyniła. Było to dopiero po raz pierwszy, że ją panna Klementyna do spólnéj wezwała przechadzki.

Gdy z przyległego pokoju, przez drzwi oszklone, już na ogród wychodzić miały, przydążył za niemi Stanisław.

— Pozwólcie panie, bo się zaziębicie! — i okrył jednę i drugą burnusem.

— Dziękuję — wymówiła Klementyna z wdzięcznym wyrazem.

Anna ciszéj: dziękuję, wyrzekła.

Pan Stanisław się skłonił i do salonu powrócił — panny wyszły pomiędzy klomby.

Klementyna szła szybko naprzód, wprowadzając towarzyszkę swoją niby na koniec ogrodu.

— Czułam potrzebę przejścia się — się mówiła — w tych pokojach tyle osób, tak parno, tak ciasno.

Rozmowa szła bardzo jałowo. Anna rozpatrywała się po okolicy równiutkiéj, zielonéj, rodzajnéj.

Niezadługo doleciały ich ochocze tony dziarskiego mazura. Annie aż serce zadrgnęło: ona jeszcze tak niewiele w życiu tańczyła, a lubiła tańczyć, jak każda młoda dziewczyna — zwłaszcza téż mazura. Gdyby się była w salonie pozostała, możeby ją który z tancerzy poprowadził do koła! — i żal się jéj zrobiło.

Pochodziły jeszcze trochę, potém Klementyna skręciła ku dworowi, a dźwięki mazura coraz głośniéj dolatując, podniecały taneczną ochotę Anny.

Wróciły do salonu. Rącze pary posuwisto po gładkiéj ślizgały się posadzce. Klementyna usiadła przy matce — gdy wtém nadbiegł Stanisław i podał Annie rękę do figury. Jakżeż żwawo sunęła przez salę, wiotka jak ptaszek, niby za lekkim goniąca powiewem. Potém zaraz znowu wybrała ją Klocia — i odtąd już do każdéj wybierana figury, ciągle tańczyła.

W czasie tych dźwięków zamaszystych i hucznych, stukotu obcasów i szelestu sukien, toczyła się dość ożywiona rozmowa pomiędzy panią Rożniszewską, Klementyną i Łasińskim. Baczne ucho mogło było dosłyszeć wyrazy: Mrowin. Jarosławska — Anna — Łasiński pokręcił głową zdziwiony, a pani Rożniszewska sucho zakończyła:

— Przyznaję, że nie byłabym chciała mieć w domu moim przeszłéj dziedziczki Mrowina.

— To i cóż to przeszkadza pani dobrodziejko? — zauważył Łasiński — dziwi mnie trochę, że o tém nie wiedziało się nic, ale zresztą to rzecz obojętna zupełnie: co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. *Ex-dziedziczki* już musiały pogodzić się z losem swoim, przewidzianym zapewne oddawna. Ani zważać na to!

— I ja tak myślę — dorzuciła Klementyna, krzywiąc usta dumnie.

— Cóż mi to zresztą i za wielka była fortuna, taki Mrowin! ciągnął daléj Łasiński — w połączeniu z Żarczyńszczyzną to ale!.... Było tam podobno z niemi coś kiedyś przed laty, ale skończyło się na chudopacholstwie i kwita: kwita z byka za indyka. Szumiało się, huczało, a teraz przyszło łapę lizać: zwykły to porządek rzeczy.

Klementyna się rozśmiała — i właśnie téż skończył się mazur.

W godzinę potém — z wielkim żalem Klocipanie z Trocka już do karety wsiadły. Żal było nieco i Annie, bo po raz pierwszy w życiu bawiła się tak wesoło.

Gdy powóz wytoczył się za wieś, zaczęła pani Rożniszewska:

— Czemuż to panna Anna nic nam nie mówiła, że rodzice jéj byli dziedzicami Mrowina?

— Uważałam, że to dla państwa zupełnie obojętną jest rzeczą.... a mnie zbyt przykro mówić, o tém co babce i matce tyle cierpień zrządziło— dotkliwe uczucie ścisnęło pierś biednéj dziewczyny, że zaledwie odpowiedzieć zdołała.

— Hm! Te panie przecież oddawna koniec taki przewidywać musiały — wymówiła znowu pierwsza,

Anna milczała, a Klocia zapytała z zajęciem;

— To mamy panny Anny był ten Mrowin, co go teraz ma Alfonsek?

— Tak — odrzekła Anna stłumionym głosem.

— Mój Boże! Jak téż to!... — poszepnęło dziewczątko, pokręcając główką.

— Mówiła mi o tém pani Zdarnowska — ciągnęła daléj jéj matka — i dziwiła się także, że my nic o tém nie wiemy.

Chwilowe nastąpiło milczenie — które wszelako niebawem Klocia przerwała, żałując. że mama tak rychło opuściła Zalasy. Poczem rozpoczął się szczebiot o tém co się widziało, słyszało, jadło i piło. Panna Klementyna dorzuciła raz po raz jaką sarkastyczną uwagę, a pani Rożniszewska przyganiała wszystkiemu.

Anna milczała dotkliwie draśnięta — i na chwilę wionęło niemal całkiem miłe wrażenie doznanéj uprzejmości w Zalasach i wesołéj zabawy tanecz-

néj. Nadto nicowanie wszystkiego i wszystkich zawsze przykrém jéj było — a jeszcze i Kloci o nic napomnieć nie mogła. Za powrotem wszelako do Trocka, gdy w swoim pokoiku stanęła, gdy udała się na spoczynek, w młodéj wyobraźni poczęły zacierać się ostatnie nieprzyjemne chwile — odgłaszały się niby z oddali wesołe tony taneczne — zwłaszcza też ów mazur zamaszysty, że aż szybciéj uderzyło serce. Barwne pary pomknęły — i różne, przeróżne jawiły się wspomnienia. Marzenia na jawie zwolna przemieniły się w senne, i były niby przedłużeniem cudnego mazura. Gdy się zbudziła, dzień już był jasny— i też w sercu jéj i duszy jaśniało — a nawet i wiośniało, lubo że przez okno mgły jesienne ujrzała. Po zmówieniu paciorka rannego, zasiadła też zaraz, by list do kochanéj mateczki nakreślić. A potém w swoich zapisała *notatkach*:

„*24 września.*

„Wczoraj po raz pierwszy byłam na tańcującym wieczorku. Po raz pierwszy!.... i uniosłam nader przyjemne wrażenie — że i następna przykrość nie zdołała go zatrzeć. Jedném słowem: bawiłam się wybornie. — Och, och! to brzmi niby na pietnastoletnią dziewczynkę, któréj jeszcze żadna moralna nie dotknęła boleść, gdy tymczasem!...... — Mój Boże! Mój Boże!— Mnie podobno i nie przystoi, tyle przyjemności znaleść w zabawie i tańcu. Powinnam być poważną i mieć zawsze położenie własne, mateczki, babki i Julki na myśli .... i myśleć o tém, że jestem nauczycielką! Troszczyć się o jutro..... a jam tak całą duszą tańczyła! — Ej, boć téżto cudny był ten mazur — a młodam jeszcze i nie zaznałam dotąd podobnéj rozrywki. Otóż, usprawiedliwić się przed własnym sądem, to rzecz nader łatwa! — Ależ ja wiem, że i mama i babka ucieszą się pewno, żem była wesoła i zabawiła się dobrze. Chwile takie są rzadkie i krótkie bardzo — lubo że i wspomnienia o nich także coś znaczą. Lecz dosyć o tém — a raczéj już tego było za wiele.

Uniosłam także i wdzięczną z dnia tego pamięć: pani Tarszowa i panna Antonina były wielce uprzejme i względne dla mnie — a pani Zdarnowska serdeczna prawdziwie. Mówiła, że mnie zna przez panią Żuryńską — i opowiadała mi o Grodlu. Państwo Żuryńscy dali nam dowody szczerego współczucia i wielkiéj zacności — Boże, wynagródź im za to; szkoda, wielka szkoda,ześmy bliżéj nie żyli z niemi. Babka miała uprzedzenia swoje — dzisiaj już ich pozbyła się pewnie.

Nastka codziennie do ogrodu przychodzi. Pani Rożniszewska i Klementyna wiedzą już o téj uczennicy mojéj — a podobno, że mnie i trochę wyśmiały. Późniéj, gdy czas zimniejszy nastąpi, Nastka będzie do mojego przychodziła pokoju. Nauczę ja szyć i nieco krawieczczyzny. Pani Rożniszewska ruszyła wprawdzie na to ramionami— ale wszelako nie wzbroniła, i jestem z tego szczęśliwa.

Rysunek Trocka wykończyłam i przesyłam mamie. Wyglądam niecierpliwie listu.”

Dnia trzeciego po tém, przybył pan Stanisław w odwiedziny do Trocka. Zastał panie Rożniszewskie i Łasińskiego w salonie.

Rozmowa zaczęła się od wspomnienia niedzielnéj zabawy — a pani Rożniszewska wystąpiła ze skargą na Annę: że nic nie wspomniała o dawniejszém dziedzictwie Mrowina rodziców swoich.

Stanisław miał zwyczaj, w ciągu toczącéj się gawędki, zawsze coś tam kreślić pochwyconym ołówkiem na lada świstku papieru — albo też nożyczkami różne figurki, zwierzęta, drzewa, lub dziwolągi wycinać. Pochwycił też właśnie kawałek ołówka — oddarł czysty papier od listu— i z wielkim zajęciem rysować począł.

— Była to nowina wcale nieprzyjemna dla mnie — ciągnęła daléj pani domu — i nie pojmuję dla czego nam panna Jarosławska tego nie powiedziała. Jest to brak otwartości, skrytość odstręczająca.

— Duma, pycha! — wtrącił Łasiński.

— A może i skromność — poszepnęła Klementyna z ironiją.

Stanisław mignął spojrzeniem i leko pokraśniał — potém więcéj pochylił się jeszcze i naszkicował dudka.

— Jest-to osoba i bez taktu żadnego — mówiła znowu pani Rożniszewska — te jakieś spacery wcale nie przystoją.

— Lubi samotność — skrzywiła Klementyna pogardliwie usta.

— Hm!.... nie zawsze — wycedził z przyciskiem Łasiński.

Stanisław nacisnął ołówkiem, że aż koniec przyłamał.

— Podobno, że już ustały te samotne do lasu przechadzki — uśmiechnęła się Klementyna—bo ją coś nastraszyło.

(d. c. n.)